Nr. 21. Rok II.

We Lwowie 26. Maja 1883.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

Przedpłata na **„ZIARNO“** wynosi:
W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**
„ kwartalnie: **3 „** — „ **3 „ 25 ct.**

prenumeratorowie kwartalni otrzymają pierwszy kwartał „Ziarna“ za połowę ceny.

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczamy INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę zamiejscową przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.,

miejscową: Księgarnia Polska przy placu Halickim Nr. 14.

Od Administracji: Przypominamy tym pp. prenumeratorom, którzy do 1. czerwca zapłacili, o łaskawe odnowienie przedpłaty, jeżeli życzą sobie następne numera otrzymywać.

PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE,“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Nr. 22. „Ziarna“ wyjdzie d. 2. Czerwca 1883.

Nr. 21. We Lwowie dnia 26. Maja 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno"

W miejscu	rocznie 12 zł.	na prowincji 13 zł.
„	kwartalnie 3 „	„ 3 „ 25 ct.
„	miesięcznie 1 „ 10 ct.	„ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administrac „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli".

(Ciąg dalszy).

XII.

Hilcio rok rocznie po kilka tygodni w domu przepędzał, przyjeżdzając zawsze na wakacje, wszakże nigdy jeszcze widok ojczystej zagrody, nie zrobił na nim tego co teraz wrażenia. Dawniej przyjeżdżał jak każdy student, szukający w domu rodzicielskim wypoczynku i rozrywki; teraz spieszył do domu, jak człowiek, który wie, że go tam czekają nowe i ciężkie obowiązki.

Mimo całej lekkomyślności, mimo, że ciągle żył z dnia na dzień, boć i ten pobyt w szkołach, nie był właściwie wynikiem planu rozumnie obmyślanego, tylko jednym z owych rzutów, do których ludzie jego temperamentu zawsze są gotowi; mimo więc lekkomyślności, która znamionowała każdy jego krok ważniejszy, Hilcio miał złote serce. Od dalszych wypadków, które nim jak kruchą łodzią miotały, nigdy bowiem nie usiłował nad niemi zapanować, zależało niestety, czy miał pójść wyżej, czy zostać na stanowisku dotychczasowem, czy też upaść i więcej się nie dźwignąć.

Obawy co do zdrowia ojca, nie były bezpodstawne. Staruszek sądził, że ma gicht w nogach, zło przemijające; tymczasem jego nogi były sparaliżowane. Lekarz który co kilka dni do pałacu przyjeżdżał z polecenia młodego hrabiego przyszedł, oglądnąć chorego. Wybadawszy go sumiennie powiedział synowi na ucho, że ojciec władzy w nogach więcej nie odzyszcze. Hilcio zmartwił się bardzo, a ponieważ lekarz stanowczo mu oświadczył, że na cierpienia tego rodzaju medycyna nie ma lekarstwa, on zaś ojca chciał koniecznie ratować, więc począł zasięgać rady rozmaitych kobiet i wróżbitów, których na Rusi Czerwonej, w owej epoce było znacznie więcej niż lekarzy patentowanych. Z bliższych i dalszych stron schodziły się tedy baby i dziady, ten radził smarować, ten kąpać, inny mruczał coś pod nosem i „zamawiał". Na prośbę syna i córki, chory wszystko z sobą robić pozwalał, chociaż wiedział, że mu to nie pomoże. Nareszcie z niecierpliwiony, wypędził fałszywych proroków, zrzucił plastry i rzekł:

— Dajmy pokój tym bzdurstwom, które człowiekowi jeno grosz z kieszeni wyciągają! Co Pan Bóg dał to będzie! Pamiętam nieboszczyk mój rodzic tak samo zaniemógł. Męczył się, kurował, a jednak tak przyszło, że umarł. Już mi nie odmienić co tam przeznaczono!

Odtąd ciągle siedział w dużem krześle poręczowem, zrobionem z prętów laskowych, i bądź godzinami całemi czytał książkę do nabożeństwa, w której ze starości wszystkie karty pożółkły, a rogi na strzępy się podarły, bądź po raz setny przeglądał kalendarz, w którym każde słowo umiał na pamięć, bądź grywał w warcaby. Tę ostatnią i najmilszą rozrywkę, dzielili ze staruszkiem, prócz jego dzieci, czasem także proboszcz lub ekonom, a niekiedy i sam pan mandatarjusz.

Hilcio zaczął gospodarzyć, w czem siostra gorliwie mu pomagała.

Zosia miała już lat ośmnaście i należała do tych rzadkich istot, na których widok ludzie wielkiego świata pytają ze zdumieniem, jakim cudem pod strzechą słomianą, mogło urodzić się i wychować takie śliczne stworzenie. Wzrostu nie była słusznego, lecz figurkę miała zgrabną i jakby toczoną; włosy na głowie koloru brunatnego, bujne i połyskujące w dwóch dużych warkoczach na ramiona jej spadały; oczy, o których nie można było powiedzieć jakiego właściwie były koloru, tak barwa niebieska zmięszała się w nich z zielenią toni morskiej, patrzyły na każdego bez trwogi i zdziwienia; na ustach małych i pełnych igrał uśmiech swobodny; po obu stronach buzi rumianej miała dwa dołeczki, nosek był na końcu

trochę figlarnie zadarty; na koniec czoło było gładkie, spokojne i jasne, jak myśli, które pod niem obrały sobie siedlisko. I nie sama tylko powierzchowność Zosi w połączeniu z drobną ręką i małą nóżką, piękną ją robiła; co jej najwięcej dodawało uroku, to niewymuszona wesołość, to swoboda delikatna znamionująca serce szlachetne, ta łagodność prawdziwie dziecięca, która jej nigdy nie pozwalała się rozgniewać. Ktokolwiek ją zobaczył, czuł się do niej pociągniętym, a kto bliżej ją poznał, musiał ją pokochać. Kochali ją też wszyscy, począwszy od panów Bereźnickich we wsi mieszkających, a skończywszy na panu mandatarjuszu, i jeżeli kto nie widział w niej skończonego anioła, to chyba jeden Krukowski ekonom hrabiego, który rozmawiając o Zosi miał jej zawsze coś do zarzucenia. Ale ktoby tam zważał na jego zdanie! Krukowski słynął ze złego języka, a że sam miał cztery dorosłe córki na wydaniu, po które jakoś nikt się nie spieszył, więc nie dziwota, że piękna Zosia Bereźnicka była mu solą w oku.

Gdy Hilcio do domu przyjechał, siostra nacałowawszy się go do syta, wzięła go za rękę, i poprowadziła do swego gospodarstwa.

— Widzisz jakie mam śliczne kurki czubate — mówiła na podwórzu — a jakie kaczki i gęsi! Kurek dochowałam się z tej pary, którą mi tatuś kupił w Stryju przed dwoma laty, dwie kaczki dostałam już dawno w prezencie od pani sędziny, a gęsi kupiłam sobie sama za nasienie ze słoneczników.

— Za nasienie ze słoneczników? — brat zdziwiony powtórzył.

— Nie inaczej, Hilciu! Jeżeli sobie przypominasz, to zeszłego lata cały nasz ogród obsadziłam słonecznikami... chciałam żeby było ładnie i anim przypuszczała, że mi to się na coś więcej przyda! Tymczasem w jesieni zgłosił się jakiś żydek i za samo nasienie dał mi tyle, że kupiłam sobie dwie pary gęsi! Mówią, że z tego nasienia robią olej... szkoda żem tego przedtem nie wiedziała, byłby mi musiał więcej zapłacić.

— A tego roku czemuś słoneczników nie zasadziła?

— Zasadziłam Hilciu, jeszcze więcej niż w roku przeszłym, ale cóż kiedy ani połowa nie zeszła. Ksiądz probosz mówił mi, że to z powodu zbytniej wilgoci, którą mieliśmy tej wiosny, a pan Krukowski utrzymuje że temu winna moja ręka nieszczęśliwa. Nie dał byś wiary mój Hilciu, jaki nieznośny ten Krukowski! Zawsze musi mi coś niemiłego powiedzieć, a nieszczęście chce, że nie ma dnia bym go gdzieś nie spotkała! Ale mniejsza oto, niech sobie plecie, co mu się podoba, ja dalej będę prowadziła moje gospodarstwo i przekonamy się czy moja ręka nieszczęśliwa! Ach! gdybyś ty wiedział mój Hilciu, jakie ja mam jeszcze świnki. Tatuś kupił mi dwa prosiaczki od kucharza, gładziutkie różowiutkie, aż miło spojrzeć. To jeszcze nieboszczyk pan hrabia sprowadził kilka takich świnek z Anglji, a teraz i ja mam dwa prosiaczki. Przekonasz się Hilciu, jak je każę wypuścić, że śliczne do pocałowania!

To mówiąc rzuciła się bratu na szyję i serdecznie go ucałowała.

— Całujesz mnie Zosiu, jak bym był jedną z tych świnek, w których jesteś tak zakochana!

— Mów co się podoba, a ja ci powtarzam, że są prześliczne, cudowne!

— Czy na nich kończy się już twoje gospodarstwo? — brat zapytał.

— Bardzo proszę! Przecie mam jeszcze śliczną krowę i dwoje cieląt jak gałeczki wszystki ci pokażę... Nie myśl mój Hilciu, że ja tu próżnowałam nie! Ja co dzień rano już o czwartej byłam na nogach, bo odkąd tatuś zaniemógł, musiałam go wyręczać. Teraz wspólnie będziemy pracowali.

— Więc ty wstajesz o czwartej?

— O! czasem jeszcze wcześniej! Naprzykład, jeżeli mam chleb upiec to zrywam się już o trzeciej, bo na naszą Marjannę trudno się spuścić. Tak, tak mój Hilciu, będziesz wcześnie wstawał, bo to zdrowo i pożytecznie, jak ksiądz proboszcz powiada.

— A o której wy się tu spać kładziecie? — brat znowu zapytał.

— W lecie po zachodzie słońca, w zimie czasem już o szóstej, bo światła szkoda. Ale mój Hilciu, ty mnie pytasz o rzeczy, które przecie sam znasz doskonale.

— Prawda że znam, lecz widzisz Zosiu, myślałem, że tu się może co odmieniło... tymczasem jak było, tak jest.

Hilaremu nie podobało się życie pod strzechą ojczystą. Jako student wstawał o godzinie siódmej, jako pan aktuarjusz o pół do ósmej, czasem nawet później; za to wieczorami bawiąc się w karteczki i fajkę kurząc, zwykł był przy szklance miodu gawędzić do północy; tu zaś miał żyć jak pustelnik, którego zmierzch usypia, a pierwszy promień słońca budzi. Wstrząsł się i zrobił minę kwaśną. Zosia jej nie dostrzegłszy, tak przemówiła:

— U nas dzięki Bogu wszystko po dawnemu i dobrze nam z tem... Ksiądz probosz powiada, że każda zmiana jest niebezpieczną, i wskazuje na nieboszczyka pana hrabiego, który jak zaczął w swojem gospodarstwie rozmaite zmiany zaprowadzać, tak do tego przyszło, że teraz młody hrabicz mało co ma z roli.

— Ej! mnie się zdaje — brat przerwał — że tu nie tyle winne zmiany ile pan Krukowski, który ponoś skarb okrada.

— Ja tam niewiem ile w tem prawdy, chociaż we wsi tak mówią... Czy ty Hilciu będziesz u hrabiego Lola? — zapytała bratu w oczy patrząc.

— Trzeba pójść, przecie przyjaźniliśmy się dziećmi, a potem w szkołach... chociaż, przyznam ci się Zosiu, ja Lola wolę w mieście niż w Bereźnicy.

— A to czemu?

— Bo tam nie ma jego matki... Anibyś przypuściła, jaka to dumna kobieta! Tyle razy byłem w jej domu i bawiłem się z Lolem a ona ani mi się w rękę nie pozwoliła nigdy pocałować, ani mnie do stołu zapraszała. Dla ludzkiego oka mnie i synowi kazała zawsze nakrywać na innym stole. Nieboszczyk hrabia gniewał się za to, i zdaje mi się, że jej nieraz z tego powodu robił wymówki, lecz zrozumieć ich nie mogłem, bo ciągle po francusku z sobą rozmawiali.

— To źle mój Hilciu, żeś się nie nauczył tej mowy.

— A mnie naco języka baraniego. Panowie mogą sobie gadać, jak im się podoba, ale szlachcic będzie tylko tym językiem rozmawiał, który dostał od Pana Boga... Piękny mi jezyk, w którym co drugie słowo trzeba powtarzać *mojsie mojsie.* Niby my tych Moszków dość nie mamy, żebyśmy jeszcze o nich mówić potrzebowali. A bodaj ich z taką mową baranią.

Zapanowało milczenie, które Zosia pierwsza przerwała.

— U hrabiego powinieneś być jak najprędzej, bo trzeba ci wiedzieć, że niedawno pierwszy nas odwiedził. Będzie temu czternaście dni stałam właśnie przy parobkach, którzy drzewo rąbali, gdy młody hrabia konno przyjechał. Zlękłam się czegoś bardzo i uciekłam najpierw do izby, potem do komory, z kąd mnie dopiero tatuś przywołał. Hrabia siedział obok ojca, i rozmawiał z nim tak po przyjacielsku, żem się aż zadziwiła. Ciągle mu mówił „panie“ Jacenty „kochany“ panie Jacenty... Musi mieć bardzo dobre serce, kiedy taki grzeczny. A i o tobie wiele nam opowiadał. Mówił że cię bardzo kocha, że się dobrze uczysz i wkrótce zostaniesz wielkim człowiekiem.

— Tak wam mówił? — zapytał pan Hilary.

— Przecie ci mówię Hilciu, że tak... Kiedy na głos ojca wyszłam z komory, musiałam być bardzo czerwona... czułam w twarzy gorąco i prawie nic nie widziałam... Gdy hrabia powstał i rękę ku mnie wyciągnął... nie wiedziałam co począć... aż on sam wziął mnie za rękę... Wtedy jeszcze goręcej mi się zrobiło... musiałam być czerwoną jak piwonja... Prawda Hilciu, że mnie z tem brzydko, jeżeli jestem czerwona?.

Zosia mówiąc to, miała minkę zakłopotaną i na brata nie patrzyła. Jej oczy, ku ziemi spuszczone, zdawały się czegoś szukać.

— Nie powiem — brat odparł — żeby ci z rumieńcami nie było do twarzy. Przeciwnie, jesteś wtedy nawet piękniejszą.

— Doprawdy?! zawołała dziewczyna zarzucając bratu ramiona na szyję — jakiś ty dobry Hilciu, że tak pięknie mówisz! Ja się bałam żeby mnie hrabia nie wziął za jaką prostą dziewczynę.

— A cóż by to ci szkodziło?

— Mnie nic... lecz zdaje mi się, że toby tobie przykrość sprawiło... Wszak będąc jego przyjacielem nie chciałbyś zapewne wstydzić się przed nim twojej siotry? Tak, tak, Hilciu, ja tylko dla tego chciałam się jemu dobrze przedstawić, żeś ty moim bratem...

Pan Hilary nie należał do głębokich psychologów, to też słowa siostry wziął tak, jak je wypowiedziała.

— I jeszcze muszę ci powiedzieć, Zosia dalej mówiła — że gdy się żegnał, prosił nas usilnie, byś go niezwłocznie odwidził, jak skoro przyjedziesz. On taki dobry Hilciu, że warto abyś zaraz jutro poszedł do niego...

Na pożegnanie znowu mi rękę uścisnął... A jaką ma rękę delikatną, jak panienka! Gdy wychodził, odprowadziłam go na podwórze.

— Źle zrobiłaś moja Zosiu — brat rzekł poważnie. — Panienka nigdy mężczyzny nie wyprowadza, choćby on był hrabią, a ona biedną szlachcianką.

— I ja tak sobie myślałam, chociaż nikt mnie tego nie uczył, ale wierz mi Hilciu, iż tylko dla tego wyszłam, że chciałam przypatrzeć się jego koniowi. Śliczny konik Hilciu, śliczny, jak malowany! I cóż pójdziesz do niego?

— Pójdę.

— Czy jutro, Hilciu?

— Jutro!

— Chodź niech cię uściskam mój dobry braciszku! — zawołała całując go po oczach i twarzy.

Potem szybko i lekko, nucąc coś wesołego, pobiegła do kuchni, aby przygotować wieczerzę.

Z motywów biblijnych.

Szir-ha-szirim

(Pieśń nad pieśniami)

Król Salamon z libanońskich cedrów
Wybudował pałac okazały.
Lśni się srebrnych kolumn zastęp długi
Spływa na dół szkarłat od powały;

A we wnętrzu droższe jeszcze skarby
Tam w zaciszu w mgłach czarownej woni
Król miłośnik najpiękniejsze z dziewic
Przed oczyma swych poddanych chroni.

Chodź Sulamit cudna czarodziejko!
Król się w twojej rozkochał ozdobie...
W cieniu zasłon jedno łoże próżne
On to łoże ofiaruje tobie.

„Nawróć się“ — mówię — „Sulamitko!“
O! niechcę królu, Panie! —
Ty hufce dziewic masz — bezemnie
Mój luby sam zostanie.

Słodsza mi jego miłość szczera,
Niż złoto i dostatki...
O puść mię królu z pysznych komnat
Do jego cichej chatki.

Wyższa jabłoń niżli krzewy,
Szczytem wznosi się nad gaje —
Jako jabłoń pośród krzewów
Luby mój wśród innych staje.

Chciałam siedzieć w cieniu jego —
Siedzę: słodkie jem owoce...
On mię w dom swój w wiódł miłości
Ogień w oczach mu migoce.

Jako-m miała mu nieuledz?
Patrzę zbiega ku dolinie,
A tak chyży, jak jelonek
Jak mgła, co z wietrzykiem płynie.

Już przed domem już u okna
Już go słyszę jak mię wzywa:
„O wyjdź przyjaciółko moja
Gołębico wyjdź trwożliwa!

„Pora zimy dawno przeszła
Nie zsyłają deszczów nieba
Kwiatów pełne nasze łąki
Zbóż i trawy pełna gleba.

„Woń od winnych płynie sadów,
Już figowy gaj w rozkwicie,
I z wieśnianą piosnką ptaszą
Ściga muszki po błękicie.

„O chodź gołębico moja,
Rzuć rozpadlin skalne wnętrza,
Nad płomienne słońca skwary
Miłość moja jest gorętsza“. —

Jesteś piękna o moja siostrzyco
Jako Tersa jako Jeruzalem.
Kogoż oczy twoje nie zachwycą,
Nie napełnią rozkoszą i — żalem?

Zęby twoje jako owiec stado
Kiedy z czystej, źródlannej kąpieli
Jaśniejącą wychodzą gromadą
Pełne blasków i śnieżystej bieli.

Nos twój, jako wieża Libanonu,
Szyja, niby słup z słoniowej kości
Oczy — to sadzawki Hesebonu
Głowa — to Karmelu wyniosłości.

A twe piersi... Istnych saren dwoje
Co igrają pasąc się na łące!
A w około łąki szemrzą zdroje
I lilijki kwitną wonające.

„Co ma twój kochanek
Po nad inną młodzież?
Czy dobytek większy
Czy wspanialszą odzież?“

— „Nie! córko Syonu!
Nie zdobią go szaty,
Mój miły to pasterz
Z ubożuchnej chaty.

Lecz taką urodą
Przedziwną przyodzian
Że mu nie dorówna
Najpiękniejszy młodzian.

Palce ma u dłoni
By hiacyntów grono —
A jak kość słoniowa
Śnieżne jego łono.

Policzki podobne
Ziół wonnych dolinie,
Wargi, jako lilie
Z których mirra płynie;

Krucze mu nad czołem
Powiewają sploty,
Głowa jak rzeźbiona
W bryle szczerozłotej,

A oczy te jasne,
To gołąbków para
Zawisłe u powiek,
Niby u konara.“

Sen mię ogarnął, ale słyszę we śnie
Dźwięk słów miłego: „Otwórz moja miła

„Już ptaki nocne kończą swoje pieśnie,
„Rosa poranna głowę mi zwilżyła,
„Nim dzień słoneczną zabłyśnie źrenicą
Otwórz mi siostro, otwórz gołębico!“ —

— „Zwlokłam już szatę mamże je wdziać znowu?
Umyłam nogi, mam je skalać świeżo?
Lecz czekaj luby, jam posłuszna słowu
Posłuszna prośbom, co z ust twoich bieżą
Otwarłam odrzwie, drżąc od chłodu cała
A mirra z palców na zworę kapała.

Lecz już nie było kochanka na dworze
Odszedł i zniknął pod nocy pokrywą.
Wołałam myśląc, iż się ozwie może
Iż mię pocieszyć przyjdzie nieszczęśliwą,
Lecz jako rosa niknąca bez śladu,
Tak głos mój zginął w krzewach winogradu.

Źródło ogrodne srebrzyste,
Wód żywych kryształne zdroje —
Libanońskie cedry smukłe
I wy smuklejsze powoje,
Co po gałęziach omszonych
Korony splatacie jasne
W jeden szum zlejcie się lube,
Aż weń wsłuchawszy się zasnę.

Wonne kwiatuszki szafranu,
Granatne kwiaty jabłoni,
Kasje z cudnymi kielichy
Rozlejcie uroki woni.
Napójcie mię swym zapachem
Napójcie mię zioła krasne
Aż odurzonej — bezwiednie
Powieki spadną i zasnę.

Od gór Saniry i Hermon
Od wzniosłych szczytów Amana,
Z jaskiń lwich, z siedzib tygrysów
Wietrzyku powiejesz z rana.
Powiejesz zbudzisz mię śpiącą,
Gdy zorza da znak poranka —
A nie zapomnij mi przywieść
Lubych pozdrowień kochanka...

O! jako pieczęć przyłóż mię
Na drżące serce swoje,
Tu nas nie dojdzie świata głos
Nie dojdą niepokoje.
Posłaniem nam kobierce traw
Uroczej pełne woni...
Cedr konarami zwisa w dół,
Od słońca nas ochroni.

Czy widzisz? Miłość duma
Ukryta w cieniu liści —
Płomienny żar oczyszcza ją,
Jak ogień złoto czyści.
Cudowny-ż żar to — on ma blask
Jaśniejszy ponad zorzę,
A niech zapłoni tylko raz
Nie zgasi go i morze.

St. Rossowski.

Kronika naukowa.

Ogólny rzut oka na postępy elektrotechniki.

przez C. K.

(Dokończenie).

Lokomotywy elektryczne różnego rodzaju wprowadzili następnie Dupuy, Murchisson i inni; zastosowano też maszyny elektodynamiczne do łodzi i statków. Nie mamy zamiaru rozbierać tu tego szeregu rozmaitych pomysłów przeróżnego stosowania tych samych w zasadzie motorów. Wzmianka jednak należy się kolejom elektrycznym, projektowanym przez prof. Ayrton i Perry w Londynie. Ci dwaj znakomici elektrotechnicy, którzy utrzymują w Londynie naukową pracownię li tylko do celów elektrotechnicznych, zmodyfikowali pomysł D-ra Siemensa i osiągnęli postęp na tej drodze, który spodziewać się każe prędszego rozwoju „kolei elektrycznych“, aniżeli dotąd z osiągniętych rezultatów wydawać się mogło.

Prof. Ayrton okazywał modele swego systemu i objaśniał swój pomysł na odczycie, wygłoszonym w końcu ubiegłego roku w Royal Institution w Londynie. Odczyt ten, w skróceniu jedynie dotychczas nam znany, nie zawiera wszelkich, specjalistę interesować mogących szczegółów, wyjaśniających to nowe, a wielce ciekawe urządzenie, lecz pomimo to dostateczne daje wyobrażenie o głębokości pomysłu i jego doniosłości.

Zasadniczą podstawą systemu Ayrtona i Perryego jest urządzenie tego rodzaju, że strumień elektryczny biegnie nie po źle odosobnionych i dużą stratę siły powodujących szynach, lecz po oddzielnej, wzdłóż szyn ułożonej linie metalowej, odosobnionej starannie zapomocą zewnętrznej warstwy gutaperchowej, na wzór lin telegraficznych podwodnych. Z liny tej, zapomocą dowcipnie obmyślanych, w pewnych odległościach umieszczonych słupków, strumień może przechodzić na szynę metalową, starannie od ziemi odosobnioną, a podzieloną na części czyli oddziały, niemające ze sobą elektrycznego połączenia, tj. wzajemnie odosobnione. Zetknięcie elektryczne pomiędzy liną a danym oddziałem szyny metalowej następuje w ten sposób, że wierzch słupków może być naciskany i pod naciskiem tym obniżać się może tak, że metalowy guzik metalowy wierzchniego denka przytyka wtedy do guzika spodniego, mającego elektryczne z liną połączenie. Słupki i wagony pociągu urządzone są tak, że zetknięcie elektryczne, t. j. przycisk wierzchniego dna słupków następuje przy przejściu wagonów. Pędzący zatem pociąg automatycznie przez takie naciskanie zamyka w danem miejscu łańcuch elektryczny, a elektromotor jego, otrzymując tym sposobem siłę, działa jako mechaniczny przyrząd ruchu. Elektryczność po nieodosobnionej szynie biegnie tylko na tych jej częściach czyli oddziałach, które w danej chwili w bezpośredniem pozostają zetknięciu z pociągiem; na całej pozostałej przestrzeni elektryczność biegnie po linie, dobrze odosobnionej, przezco zapobiega się iej rozpraszaniu i większej stracie siły, tak, że strata ta przy najdłuższej linji jest tak dużą, jak przy najkrótszej. Jestto ogromnym w praktyce krokiem naprzód i prawdziwą wyższością nad dawnym, — to jest aż trzyletnim systemem Siemensa. Obok głównego udoskonalenia, posiada projekt nowy dwie jeszcze, wielce ważne zalety. Prof. Ayrton w wykonanych na małą skalę modelach swojej kolei, zaprowadził automatyczne urządzenie tego rodzaju, iż pociąg nietylko na danych oddziałach otwiera zetknięcie elektryczne lub je znosi, ale jeszcze wpływa na odosobnienie szyny, doprowadzającej elektryczność z liny, w przyległym, przebytym oddziale, tak, że gdy na jednym oddziale łańcuch elektryczny jest zamknięty, to na oddziale poprzednim zamknięcie łańcucha w taki sam sposób jest niemożliwem, a strumień z szyny odosobnionej na motor przechodzić nie może. Wyobraźmy sobie zatem, że na jednym z oddziałów pędzi pociąg; gdyby jednocześnie na sąsiednim oddziale inny zjawił się pociąg, to elektromotor jego nie otrzyma siły elektrycznej, po odosobnionej linie płynącej; strumień wcale do motoru nie wejdzie, gdyż krótszą dla siebie znajdzie drogę. Wówczas motor pod wpływem ruchu, jaki poprzednio pociągowi został nadany, wskutek bezwładności stanie się „odwróconą“ maszyną, w której ruch przeobrażać się będzie w elektryczność, a rodzący się w ten sposób ogromnie silny (o krótkim przebiegu i małym oporze) strumień elektryczny, przeciwnego kierunku, w niesłychanie szybkim czasie zrównoważy nadany prawem bezwładności ruch pociągu i automatycznie go hamuje. Zetknięcie się zatem dwu pociągów w ten sposób, staje się w ten sposób nieomal niemożliwem; natomiast z chwilą, gdy pociągi znów się oddalą, a odosobnienie szyny przywróconym zostanie, oba elektromotory znów jako takie, działać i pociągi prowadzić będą mogły. Niepodobna nie przyznać ogromnego wpływu na niebezpieczeństwo pociągów temu, czysto automatycznemu, a nie sygnało-

wemu, jak we wszystkich innych wypadkach, urządzeniu. Drugiem, w tym samym kierunku, ale mniej ważnem udoskonaleniem, jest również w modelach kolei projektowanej osiągnięte urządzenie, iż przy przejściu pociągu od jednego słupka do drugiego, otrzymuje się przez nacisk denka zamknięcie pobocznego jeszcze łańcucha elektrycznego. Prof. Ayrton posługuje się tem, ażeby w stałym, przy końcu linji umieszczonym przyrządzie, wskazywać graficznie bieg pociągu, w miarę jego posuwania się: osadzając skazówkę przyrządu na schematycznej mapie całej kolejowej linji, otrzymuje się wprost geograficzny obraz jazdy, jaką pociąg na odległości odbywa. Urzeczywistnienie takiej automatycznej. w każdem miejscu możliwej kontroli, jest rzeczywiście wspaniałem, a w praktyce posłużyć może do kontroli szybkości jazdy i do natychmiastowego wskazania w razie wypadku, gdzie i kiedy nieszczęście nastąpiło.

Czy te wszystkie udoskonalenia dadzą się łatwo i tanio zastosować na wielką skalę w komunikacjach cywilizowanego świata, tego osądzić niepodobna, i cośkolwiek wypowiedzieć o tem, byłoby przedwcześnie. Niezaprzeczenie koleje elektryczne, niedające wcale dymu i o wiele od taborów parą prowadzonych lżejsze, na znaczne zasługują pierwszeństwo w tunelach i w nadziemnych, na słupach ponad miastami w Ameryce prowadzonych kolejach.

Na zwykłych drogach jednak, dziś parą obsługiwanych, elektryczność ma do zwalczenia nietylko rachunek możliwych korzyści i szanse bezpieczeństwa, ale zajadłą stoczyć musi walkę z dwoma potężnymi wrogami: z rutyną i z kapitałem. Walka ta była przedmiotem odczytu Prof. Perry'ego, wygłoszonego przed londyńską publicznością, kilka miesięcy już temu. Oprócz podniesionych przez nas powyżej porównawczych względów spożytkowania siły w motorach parowych i elektrycznych zwraca Perry nader słusznie uwagę na inne, drobniejsze, ale nie małoważne względy. Gdy np. lokomotywa — powiada on — przystaje za stacji, marnuje się znaczna ilość siły: traci się i ciepła i dużo ruchu. Daleko większą stratą jest, uchodząca wciąż w czasie jazdy, niespożytkowana w największej części, para zużyta (returowa), której corocznie na kolejach marnowana ilość ogromne musi stanowić kapitały. Przy dynamo-elektrycznej maszynie, straty te sprowadzone zostają do minimum; oszczędzona przy zwolnieniu biegu lub przy zatrzymaniu siła pozostaje niestracona, a warunki spalenia węgla mogą być najstaranniej i najkorzystniej obmyślane.

A jednak, poważna bardzo oszczędność gdyby ję osiągnąć tu się udało, z trudnością chyba zwalczy urządzenia, które mają za sobą rutynę i za których utrzymaniem mówi interes wielu bardzo jednostek. Czy można sobie! wyobrazić' aby miano wyrzucić i wycofać z użycia tysiące łokomotyw i powiązanych z niemi urządzeń? czy potentanci przemysłowi i finansowi, tacy, jak Borsig i Sigl, jak angielskie i belgijskie wielkie towarzystwa budowy lokomotyw, dadzą się zrójnować, niebroniąc się przedtem do upadłego przeciw Siemensowi i Halskemu lub Bréguetowi? Nieprzesądzając końca rozpoczynającej się już walki, stanowczo przepowiedzieć można, że bardzo będzie uporczywą i zaciętą.

Jak mieliśmy sposobność zaznaczyć powyżej, zasadniczym przymiotem elektryczności jest łatwość w jej rozprowadzeniu. Prof. Perry może ma słuszność, twierdząc, iż tak jak w swoim czasie para, owładnąwszy całkowicie wytwórczym przemysłem, stała się przyczyną wielkiej, a według najnowszych teoryj socjalnych, nadmiernej — centralizacji przemysłu w ogólności i skierowanych ku niemu kapitałów, tak w najbliższej znów przyszłości, elektryczność sprowadzi decentralizacją pracy ludzkiej, zapewni osobistą wytwórczość wyrobnika i osłabi znaczenie kapitałów w przemyśle dziś rzeczywiście bardzo potężne. Nierozporządzający bowiem kapitałem pojedynczy pracownik, będzie mógł — skoro wzniesione po miastach zostaną wielkie zakłady elektro-dynamiczne, wytwarzające ze spalonego węgla strumienie elektryczne, kupić lub wynająć odpowiednią siłę, wprowadzić drut do izdebki i otrzymać w ten sposób nietylko światło i ciepło do użytkowania, ale i motor mechaniczny do swej pracy.

Dla takiego urządzenia, do takich miejskich „fabryk elektryczności" bardzo wszakże tymczasem daleko, a projekty, jakie się rodzą i rozwijają, zasługują przeważnie na uwagę jako prąd czasu. Są one zwiastunami leniwszego od nich postępu rzeczywistego. W szeregu tych zwiastunów pominąć wszakże — gdy o nich mowa — nie należy, bardzo śmiałego projektu Bessemera. Proponuje on, aby powszechne „fabryki elektryczności", nie w zużytkowujących siłę tę miastach, lecz w kopalniach węgla jedynie zakładać. Wiadomo, że cena węgla na kopalni jest stosunkowo bardzo niską, a w większości wypadków koszt przewozu przedstawia największą część ceny węgla, w miejscowościach niezbyt bliskich źródła, gdzie go z łona ziemi wydobywają. Ponieważ zaś drut miedziany jednocalowej średnicy (m. ang.) — wedle doświadczeń i obliczeń naukowych — przeprowadzić może siłę elektryczną, równą sile 84000 koni parowych, czyli 6300000 kilogrametrow pracy na sekundę, przeto Bessemer wyliczył, że zaprowadzenie drutów z kornwalijskich kopalni — znaczną da oszczędność w koszcie wszelkich sił dla całej brytańskiej stolicy i obficie opłaci procent i umorzenie od uczynionego na to nakładu.

Obok tego korzystnego — jak twierdzą projektodawcy na teoretycznych dotychczas podsławach — zużycia siły, a raczej energji zawartej w węglu, wspomnieć koniecznie wypada o dawniejszym już projekcie wyzyskania tą drogą sił przyrody, bezpośrednio pod formą ruchu się przejawiających. Thomson i Houston, zajmując się teoretycznie kwestją „przenoszenia siły (ruchu) zapomocą (?) „elektryczności," wyrachowali, że ogromna, a marnująca się w przyrodzie siła spadku Niagarry, mogłaby być zużytą na odległość 500 mil angielskich (około 800 kilometrów czyli 850 wiorst) za pośrednictwem drutu miedzianego, niespełna pół cala ang. średnicy mającego. Gdy więc dotąd tylko w bezpośredniem sąsiedztwie wodospadów leżące zakłady mogły użytkować z dobrodziejstwa sił natury, elektryczność pozwoli nam może pójść dalej i na wszelkich odległościach zużywać takie źródła siły które nic nie kosztują, a które stoją otworem dla człowieka, o ile on korzystać z nich zechce i potrafi. Jeśli obrachować, jak wielki zapas niewyzyskanej dziś siły mógłby w ten sposób dla ludzkości być spożytkowanym, jakże nie unieść się, jak nie uwierzyć w potęgę tej nowej dla celów praktycznych siły, w szybki jej rozwój i w piękną przyszłość. Aby jednak w tym kierunku zbytniemu nie dać się uwieść złudzeniu, pamiętać potrzeba ciągle, że pomiędzy teoretycznemi spekulacjami, a praktycznem ich urzeczywistnieniem, przedział jest wielki, trudności do przebycia ogromne, a najpiękniejsze nieraz rozumowania, gdy ogniową próbę wykonania przejść mają, rozbijają się często w twardą i przykrą rzeczywistość.

Co z dotkniętych w powyższem projektów przejdzie w życie lub ku urzeczywistnieniu swemu się zbliży, o tem będziemy się starali dalsze od czasu do czasu dawać wiadomości.

PAWŁO, DRWAL.

SYLWETKA

W. R. Lewickiego.

— Pawło! ot wiozą.

— E! indziej.

- Ale ba! już nam się patrzy zarobek.

Szeroki wóz łatrowy z drzewem skrzypiąc po śniegu, powoli toczył się w bramę.

Maksym ręce zatarł, siekierą machnał. Pawło osełkę z za pazuchy wyjął, piłkę do piersi przycisnął i zwolna przekładając zęby począł wycierać i ostrzeć.

— Idźże no, spytaj ta zgodź sie.

— Zaraz, zara. I leniwo wlókł się w podwórzec.

— Będziemy robić proszę łaski panny? spytał patrząc z podełba na pilnującą drzewa służącę.

— Nie potrzeba, odcięła fertycznie dziewczyna, u nas aresztantów pan bierze do rąbania.

— O! patrzcie ją, zły zamruczał, złodziejom to daje, a biedny człowiek niech z głodu mrze.

— Ouwa! jaki mi mądry się wziął — odcięła służąca.

— A bodaj was za naszą nędzę Pan Bóg skarał z waszym kryminałem — zaklął, z pod pieczonki splunął z niechęcią i powoli z bramy na ulicę wracał, gdzie Maksym go pocieszał.

— Indziej to się trafi. I obaj wymyślać poczęli

Schował osełkę w zanadrze i ręce skostniałe potarł. Szli zadumani pospołu.

Mróz brał siarczysty, zimno im dojęło, głód dokuczał, złość draźniła.

Serdak jeden z drugim ścisnął, kawał świty za rzemień upchał i czapkę ułańską na ucho głębiej nasunął. Mróz wąsy im zmroził a brwi nastrzępione igiełkami brylantów w słonecznem świetle migały.

Pawło targnął wąsiska i strząsł ochuchane ust ciepłem strzępy lodowych kryształków.

Z ukosa na świat patrzyli już nie myszkując łatrowych wozów z drzewem. A świat był taki ruchliwy, promienny, taki wesoły, a taki jasny i słoneczny, a białe domy z słońcem igrające i śnieg ozłocony i lśniące niebo tak jasnością biły, że w nie, patrzeć nie sposób.

— Licho, że tych złodziei nadało, od domu się to wałęsa do domu i z pod nosa człowiekowi robotę zmiata.

— Boga to w sercu państwo ci nie mają — mruknł towarzysz.

— Psia taka dola człowieka!

— Grosza nie wykrzeszesz. Ręką chciał wąsa musnąć, a mróz na odpowiedź żylastą chwycił skórę spracowanej dłoni żelaznymi kleszczami, że zgiąć jej nie był w stanie.

— Chyba łykniem gorzałki, bo krew się w żyłach ścina.

— Ba! ino żebym miał grejcar przy duszy.

— Ej jakoś to będzie.

— Bez tego głodem mrą doma.

— Ta prawda.

Klnąc zwlekli się do szynku.

Dym i zaducha zmieszane z parą wyziewów niewonnych duchem ich uderzyły. Owiani ciepłem nawet tej atmosfery zwolna przychodzili do siebie. Skostniałe ręce aż spotniały. Łzą oczy im zaszły i gryzącą parą.

Na stołach szklanki, przed nimi kilku nędzarzy, w kącie dziewczyna gziła się z piaskarzem, co wstąpił na łyk jeden, konia przed drzwiami z piaskiem zostawując. Za podniesionym szynkwasom stara Ruchla żydowica o spoconych policzkach, tłustemi palcami druty przebierała po zbrudzonej pończosze.

— Daj siwki.

— A zapłacisz?

— Już to nie twoja głowa.

— Ty się tem nie turbuj! ty stara omędro!

— Naści ty wiedźmo — huknął rzucając siekierę, w zastaw, daj półkwaterek.

Aż się zaśmiał do cynowej miarki pieniącej się siwuchy.

— Do ciebie kumie,

— „Szob' łycha ne znaty“ i wychylił miarkę, łyknał raz i drugi.

Kum za drowie dziękował, wypił na cur lichu, szpeką zakąsił i wąsy obtarł lewym rękawem.

Obaj byli na ławie. Duchem się ogrzali i dumać sobie jęli.

— U mnie — bo jeszcze pół biedy, stara stanie do balji, ta grosiwa gdzie wydrze.

— Ba! Moja na Pokrowę rok będzie — ze wszystkiem mi marnieje,

Kwęka dzień i noc ciągiem.

Pomorka ją chwyciła pewnikiem na przednowek kiwnie.

— Ta niechby!

— Tylo nie stanie na księdza, ta trumnę...

Noc zapadała, mroczne wychylając łono w stu gwiazdach błysła na zbrudzonym podwórzu. W głębi stał lamus wznosząc się pośród śmieciska rozmaitego: węgli, łup, niedoimków rzepy i zgniłych ziemniaków. W tym przyścianku na barłogu poczerniałego okłotu leżała chora kobieta. Stękanie jej przerywał to płacz to krzyk kilkorga wynędzniałych dzieci. Bose to i zamursane, drżące od zimna i głodu, do boskiego stworzenia niepodobne wołały za chlebem.

W tem z pod wianka chmur ukazujący się miesiąc w pełni, zarwał rąbkiem srebrnego światła bladą twarzyczkę dziewczęcia i blaskiem swoich promieni oświecił na wpół przechylóną główkę, powiewnej tej postaci... Aksamitny puszek brzoskwiniony ośniedzał ciemny inkarnat cery, wiśniowe usta i włos w nieładzie kruczo szafirowy robiły z niej w tem pół świetle jasnego księżyca, jakąś cygankę z nad Ebru.,.

Matka ze słomianego barłogu zawołała: „chleba“.

— Matulu moja! w domu ni łyżki ciepłej strawy znaleść -- i łza sperliła jej oko, tatunio wnet przyjdą, ta chleba przyniosą.

— „J e ś ć“ wrzeszczały dzieci.

Ona je ręką garnąc utulała...

— Tatunio co ino, co ino u proga.

— Bobyś łyżkę mleka zkąd mi wydostała — jęczała chora żałośnie.

— Duchem już przyjdą; co ledwo nie widać — to mleka wam kupią a migiem je sprażę. Rogóżą chorą okryła i wybiegła w podwórzec wypatrzyć z ulicy kiej ojca nie zobaczy.

W tem panicz jakich wiele, przystanął u proga i rękę strwożonej uchwycił. Coś prawił do ucha. Stanęła jak wryta. Aż ręką musnął po twarzy. Dziewczyna spłonęła krasnym rumieńcem. Po chwili szamotania, wyrwała się gwałtownie. W pąsie, brylantowa w oczach, Pawło z szynku się wlokąc nadybał. Panicz gdzieś w lot znikł jak kamfora. Ona z miłością do ojca się tuląc tonęła, we łzach na piersi. „Durna ty! durna! “mruczał stary przez zęby idąc ku izbie i spoglądał z ukosa.

— Ta ino z nim trza ci się było zadać.

— Nie chcę Tatuniu! niech mię ręka broni.

— Ej! nie ochota tobie z młodymi?

— Ja go się boję, on bardzo zły widno.

Pawło patrząc wilkiem na ziemię, markotno głową pokręcił i huknął.

— To ruszaj za nim on da pieniędzy! Teraz ty zarabiaj — ja już nie umiem

— Tatuniu! nie pójdę, nie chę, broniło się dziewczę

— Niechcesz? to zechcesz!... jak gębę ci z głodu wykręci!,..

„J e ś ć j e ś ć!“ krzyczały dziecięta zgłodniałe.

Odczepcie wy się, nie mam jeść!

— „Chleba“, jęknęła chora.

— Nie mam! — ryknął.

— Pieniędzy skąd ja dostanę pieniędzy... zawodziła dziewczyna?

— Skąd pieniędzy dostanę... powtórzył echem mimowolnie Pawło.

— Skąd dostanę? — i oko groźnie mu błysło, aż ciarki przeszły dziewczynę.

— Pójdę kraść:..

* * *

Wiosna ożywczem wionęła ciepłem Śnieg tajał, woda rynsztokami po ulicech biegła. Dzień był słoneczny. Miasto pełne wrzawy. Środkiem ulicy ciągnął oddział aresztantów.

Ich krojone jednaką miarą sieraki, ich twarze posępne, ich wzrok ponury ostro odbijały od różnobarwnego, wesołego tłumu przechodniów. Każdy sobą zajęty, nie oglądając się spieszył. Z ulicznego gwaru nagle się wyłoniło dziewczę o bladym inkarnacie twarzy i upstrzonem ubraniu, za jednym z tych niewolników niespokojnem wiodąc okiem.

— Masz za czem się oglądać — ta za złodziejami, ofuknęła starsza — ondzie hrabia idzie.

Aresztanci zniknęli w bramie jakiejś kamienicy. Na podwórzu stały sągi łatrowe. Pod nimi drwale myszkujący roboty. Jeden zglądnął się na przybyłych i stanął wryty.

— Pawło! ta wy to?

Ocknął się zadumany; na głos Maksyma głowę podniósł.

Był zaniedbany, o zapadniętych policzkach i wygasłem oku. Pobladł silniej, wpatrzył się weń żałośnie, aż mu łzą zaszły oczy, w gardle coś załechtało, a słowa uwięzły na ustach.

Pokonał się.

— Tera mam ci robotę...

Maksym chciał się przywitać, dozorca nie pozwolił się zbliżyć.

— Taki befel.

— Cóż moja? pytał Pawło.

— Oho! już indziej.

— A dzieci?

— Po świecie. Starsza ot... — machnął ręką — i mówić nie warto, a małe — na żebrach..,

Świat zyskał złodzieja, ziemia mogiłę, a ludzie żebraków chleba i miłości.

10. grudnia 1881.

Przegląd literacki.

(Liberalizm i Obskurantyzm na Litwie i Rusi (1815 1823) p. Piotra Chmielowskiego (Ateneum 1883 styczeń-kwiecień.)

(Ciąg dalszy)

Powstawały więc projekta reformy. Chciano żydów prowadzić na stepy i tam zrobić dla nich udzielną prowincję; proponowano usunięcie ich stanowczo od dzierżaw propinacji. Co więcej, aby zapobiec rozradzaniu się ich, projektował ks. Marczyński „nakaz życia w wiecznem bezżeństwie tym wszystkim żydom, którzy nie mają kapitału 500 rubli albo rzemiosła“. W ogóle myśli o równouprawnieniu i uobywateleniu nie było: usiłowano tylko wynaleść sposoby usunięcia zła ekonomicznego.

I tu reakcja odegrała smutną rolę. Kiedy kwestją włościańską, a po tem kwestją oświaty ludowej zajęte były wszystkie czasopisma „Miesięcznik Połocki“ nawet słabym głosem nie zaznaczył, że współczuje z prądem nurtującym w społeczeństwie. Kiedy pojawił się wzmiakowany artykół w Wiadomościach brukowych, dążacy do tępienia złego w zakresie stosunków włościańskich, czuł się niejaki Ignacy Łagiewnicki spowodowanym do założenia Gębacza — w celu przeciwdziałania. A co ważniejsza, jak w kwestji oświaty usiłowali poddańczością i wystawianiem wychowania liberalnego za szkodliwe rzadowi — podsunąć mu stołka, tak tu wstecznictwo osłaniają miłością kraju. Nieznajomy autor „Uwag o wolności poddanych w naszym kraju“. — Zwolennik poddaństwa i pańszczyzny kończy: „Obywatel wierny tronowi, przywiązany do ojczyzny i w cnotliwem postępowaniu znajdujący wspólną nagrodę, świętą znajduje powinność odkryć w swojem piśmie to wszystko, cokolwiek krajowi szkodliwem być może“.

Takie były wyobrażenia liberalnych i obskurantów w dwóch najważniejszych kwestjach ówczesnego życia narodu. Istniały atoli inne — mniejszego znaczenia, niemniej jednak ciekawe, jak: kwestja polityczna i narodowa, kwestja emancypacji kobiet, łączenia się w towarzystwa — i jeszcze specjalniejsze — pozostające w sferze naukowych badań kwestja krytyki dziejowej, filozofii i literatury.

Wszędzie zaznaczyły się mniejsze lub większe różnice zapatrywań, nie od rzeczy więc będzie przejść je pokolei choć pokrótce.

Z osobliwą siłą i sarkazmem występują Wiadomości Brukowe przeciw kastowym przesądom szlachty i pustym brzękom w narodową strunę. W kraju Bibencji (Listy indyjskie nr. 127) mieszkańcy dzielą się na 2 kasty: z urodzenia rozumna i z urodzenia głupia.

Pierwsi umieją wszystko z urodzenia, mają przywilej posiadania pieniędzy, przywilej bezczynności, są częstokroć sobie nawet niepożyteczni, drudzy muszą pracować, znosić kaprysy pierwszych, być użytecznymi dla kraju. Istnieje tu tak zwana świątynia narodowości. Czciciele jej składać muszą przysięgę tej osnowy: „Ja N. N. obiecuję i przysięgam, iż stale, czule, serdecznie i sentymentalnie kochać będę narodowość i bronić jej jak najmocniej, a mianowicie 1o szczerze i najmocniej wierzyć, iż każdy u r o d z o n y ziomek umie wszystko doskonale i zdolny jest do piastowania wszelkich urzędów, a oraz nigdy się nie zapytam, co umie i gdzie się uczył, a nawet drugim tak niedorzecznych pytań czynić niedopuszczę. 2 będę wszelkimi sposobami powstawał przeciw wolności nieurodzonych, 3. wszystkie zagraniczne hotele napełnię sławą mego narodu przez wspaniałe i zbytkowne wydatki. 4 będę próżnował przez całe życie, brzydził się wszelką profesją i pogardzał ludźmi co tak nikczemnym żyją sposobem, 5 nie będę nigdy płacił długów, 6 będę chwalił i uwielbiał wszystkie narodowe przesądy, 7 raz przynajmniej upiję się na dzień, 8 nazwę się nakoniec hrabią i za resztę majątku kupię krzyżyk maltański“.

Ciekawą jest rzeczą, że już wówczas występuje kwestja emancypacji i racjonalnego, trzeźwego wychowania kobiet. Niejednokrotnie poruszano ją w pismach. Ganiono sposób wychowania domowego, co się praktykowało po domach możnych. Wynikiem głównym jego: mówienie po francusku, gra na fortepianie—taniec; wskazywano błędy pensjonatów, radzono większą baczność na stronę fizyczną; wreszcie zachęcano zdolniejsze do pracy literackiej.

Co się tyczy towarzystw, zaznaczyć musimy, że większa część ich miała tendencje liberalne. Uniwersytet wileński i pod tym względem okazywał się instytucją wzorową. Pozostawał on w ciągłej i ścisłej łączności ze społeczeństwem przez comiesięczne t. z. posiedzenia akademickie publiczne, na których czytano rozprawy, popularyzując naukę. Krom tego tworzyły się towarzystwa ku wspieraniu ubogich uczniów, towarzystwo lekarskie, a osobliwie ważne towarzystwo typograficzne, zajęte taniem wydawnictwem pożytecznych a popularnie napisanych dziełek.

Spółrzędnie istniały dwa inne towarzystwa, których celem było „szerzenie idei humanitarnych w ogóle, tolerancji religijnej, swobody myślenia, oświaty prawdziwej we wszystkich warstwach społecznych, równości wobec prawa, wolności politycznej w zakresie legalnym; przeciwdziałanie zabobonom, przesądom, bigoterji, fanatyzmowi, nieprawnej przewadze jednej klasy nad drugą, wszelkiemu uciskowi, wszelkiemu służalstwu“. Łatwo odgadnąć, że były to towarzystwa wolnomularzy i szubrawców.

Pojęcia w kwestjach nankowych rozmaitością swą i skrajnością wywoływały

żywszą nierównie polemikę, niż w zakresie kwestji społecznych. Budzący się duch krytyki dziejowej nie przenikał wcale do umysłów obskurantów, którzy hołdować woleli przesądom i ślepo wierzyli w tradycję.

„Miesięcznik połocki“ — główny organ obskurantów, zostający pod redakcją księży Jezuitów, usiłował zohydzić filozofię francuską XVIII wieku. Zadaniem filozofii — wedle autora „Przestróg religijno-politycznych, od pewnego wielkiego filozofa danych swojemu uczniowi“ — jest powstawać przeciw swym gnębicielom, całego rozumu zażywać przeciw ustawom towarzyskim i wszelkimi sposobami szukać szczęścia, które mu przyrodzenie wskazuje; a jeśliby w całem przyrodzeniu nie znalazł pomocy, wówczas filozofia radzi takiemu wrócić się do pierwszego jego bytu“ t. j. zostać zwierzęciem. Miesięcznik wzdycha do czasów, w których filozofia była służebnicą teologii i piorunuje na wiek XVIII.

Podobne to głosy wywołały rozprawę Śniadeckiego „o filozofii“, gdzie między innemi roztrząsa autagonizm filozofii i teologii. „Potwarze i prześladowania ludzi uczonych — pisze — zaczęli teologowie; przez co szkodzili religii, moralności i naukom. Uczeni wzięli się nakoniec do obrony: roztrząsnęli naukę teologów, oddzielili w niej to co jest prawdziwie boskie i religijne, od tego, co jest wymysłem i przywłaszczeniem ludzi chcących nad światem przewodzić i panować: i stąd wypadły drogie i wielkie dla religii i społeczności przysługi ale też stąd wyszło źródło nieubłaganej na filozofię zawziętości“. „Każda nauka — mówi w końcu Śniadecki — ma swoich półmędrków i kuglarzy, którzy ją znieważają i psują, i ma także prawych czcicieli i wyznawców, którzy ją z chwałą i pożytkiem doskonalą i szerzą. Własnością pierwszych jest powierzchowność, podłatana dumą i zuchwałością; przymiotem drugich jest gruntowność, ozdobiona skromnością i wielką przezornością w sądzeniu. Gruntowny teolog nie osłabia filozofii, ale jej się uczy, jako sobie nie tylko pomocnej, ale nawet istotnie potrzebnej“...

Podobnie jak Śniadecki — w sposób jasny, dosadny, a przytem dowcipny i ostry lubo żartobliwy odpiera zarzuty czynione filozofii artykulik Wiadomości Brukowych p. n. „Rozmowa, przechadzka i znowu rozmowa.“ (Dok. nast.)

Partja bilardu

przez

Alfonsa Daudeta.

Cóż dziwnego że żołnierze z sił opadli... walcząc od dwóch dni na ulewnym deszczu. I teraz od trzech długich godzin stoją zziębli, z bronią do nogi na drogach zalanych wodą, śród pól grzązkich i błotnistych.

Osłabieni, znużeni bezsennością, w przemokłych mundurach cisną się wzajemnie w zbitą masę, aby się utrzymać na nogach.

Niektórzy spią stojąc, opierając się o tornistry sąsiadów; a zmęczenie i bezsilność przebija się na tych twarzach, dziwnie bezbarwnych sennością...

Deszcz, błoto, zagasłe ogniska, ani kropli ciepłej strawy, nad głowami obłoki ciężkie i czarne, a dokoła zastępy wrogów. Ponury to widok.,.

Cóż się tam robi? cóż się tam dzieje?...

Armaty zwrócone rozwartemi paszczami ku lasom, zdają się czatować na kogoś... Ukryte kartaczownice patrzą nieruchomie stalowemi rurami. Wszystko zdaje się być gotowem do ataku. Czemuż nie atakują, czemuż czekają jeszcze?

Oczekują rozkazów — z głównej kwatery nic nie przybywa.

A przecież do tej głównej kwatery niedaleko.

To ów piękny zamek Ludwika XIII, którego czerwone cegły jeszcze bardziej poczerwieniały. Prawdziwie książęca siedziba i godna zaiste być kwaterą marszałka.

Przed zamkiem wielka fosa i schody kamienne, zieloności wiele i wazonów pełnych kwiecia. Z drugiej strony gaiki i strumień, po którym pływają łabędzie; w wielkiej klatce, zbudowanej w kształcie pagody, wydają ostry krzyk pawie i złote bażanty bijące skrzydłami. Chociaż państwo opuścili zamek, nie czuć pustki i owego milczenia, które sprowadza wojna. Chorągiew naczelnika armji strzerze tu najdrobniejszego kwiatka w trawniku.

Deszcz bijący w niegodziwe błoto po drogach, tu zdaje się być deszczykiem eleganckim, arystokratycznym, który ożywia czerwoność dachówek, zieloność trawników, rozjaśnia liście pomarańczowych drzew i białe pióra łabędzi. Wszystko to błyszczy i oddycha miłym spokojem. Zaprawdę, żeby nie sztandar, powiewający na szczycie zamku, gdyby nie żołnierze odbywający wartę za żelazną bramą, któżby przypuścił, że się tu mieści główna kwatera? Konie w stajniach Tu i owdzie kręcą się ordynanse lub zaglądają do kuchni, ogrodnik w czerwonych pantalonach grabi spokojnie dziedziniec.

W jadalni, której okna wychodzą na taras, stoi stół, na nim odkorkowane butelki. Puste szklanki po winie. Z sali bocznej dochodzą śmiechy, stukanie bil, brzęk szkła. Marszałek gra w bilard — oto dla czego armia czeka daremnie rozkazów. Skoro rozpoczął partję, nic nie jest wstanie przerwać mu... choćby się świat zawalił...

Jest to słaba strona tego wielkiego wojownika. Przyjrzyjcie mu się — poważny jak na polu bitwy, pierś jego pokryta orderami, oko błyszczące, wargi zaognione. Otaczają go adjutanci, pełni uszanowania, a każde jego uderzenie budzi w nich admirację. Gdy marszałek robi jeden punkt, wszyscy cisną się do tablicy; gdy mówi że ma pragnienie, wszyscy śpieszą aby mu przygotować grog.

Partnerem marszałka jest oficer sztabowy, niskiego wzrostu, w jasnych rękawiczkach; jest to bilardzista znakomity, któryby mógł zwalczyć wszystkich marszałków, a jednak dzielny ten kapitan trzyma się w przyzwoitej odległości względem swego szefa, stara się aby nie wygrać, pamięta jednak i o tem, aby wygrana nie przyszła marszałkowi zbyt łatwo...

„Baczność młodzieńcze, trzymajże się... marszałak ma o pięć punktów więcej. Należy partję w ten sposób doprowadzić do końca, to nam przyniesie awans pewny, pewniejszy niż na ulewnym deszczu, śród błota, gdzie daremnie wyczekują rozkazów“.

Jestto w samej rzeczy zajmująca partja. Bile biegają po zielonym suknie, ocierając się o siebie zlekka... Nagle ogień ukazał się w powietrzu i głuchy łoskot strzałów działowych uderzył w szyby, obecni z przerażeniem spojrzeli po sobie. Marszałek tylko przechylony nad bilardem nic nie słyszał...

Po chwili nowe błyski... strzały amartnie odzywają się jeden po drugim, potem mieszają się razem. Adjutanci biegną do okien. Czyżby prusacy atakowali?...

— Mniejsza o to, niechaj atakują, zawołał marszałek, wznosząc kij bilardowy. Na ciebie kolej, panie kapitanie.

Oficer sztabowy drży z zachwytu.

Czemże był Turenjusz zasypiający na armatniej lawecie, wobec naszego marszałka tak spokojnego przed bilardem w chwili akcji... Podczas tego wrzawa rośnie. Z hukiem armat mieszają się rozdzierające głosy kartaczownic i piekielne gruchanie rotowego ognia. Płomienie ogarniają głębie parku. Pawie i bażanty przerażone lamentują w pagodowych klatkach, arabskie konie w staj-

niach poczuwszy zapach prochu stają dęba. Główna kwatera zaczyna się ruszać. Depesze zjawiają się za depeszami, przerażone sztafety nadbiegają oklep — wzywają marszałka.

Marszałek jest nieprzystępny.

Powiedziałem wam zresztą, że nic go nie zdoła powstrzymać od dokończenia partji.

— Na ciebie kolej, kapitanie.

Lecz kapitan zdawał się jakiś roztargniony. Co to znaczy być młodym! Rzekłbyś, że głowę stracisz, ani się spostrzegł gdy był bliskim wygrania partji. Marszałek wpadł w wściekłość, która rozjaśniła zobojętniałe jego oblicze. W tej chwili właśnie jeździec wpadł na dziedziniec, a koń zmęczony pada bez życia. Adjutant okryty błotem odtrąca żołnierza stojącego na warcie, wpada do sieni, wołając: „marszałku marszałku“. Marszałek zadyszany od gniewu, czerwony jak kogut, zjawia się w oknie z kijem bilardowym w ręku:

— Co to jest?... co to znaczy?... Gdzie się podziały szyldwachy?!...

— Ależ marszałku...

— No tak... dobrze... za chwilę... niech czekają moich rozkazów, do wszystkich dja...!

Po tych słowach marszałek gwałtownie zamknął okno.

Każe czekać rozkazów!

Biedni ludzie. Niektóre bataljony rozbite zupełnie, inne znów stoją z bronią na ramieniu, nie mogąc zdać sobie sprawy z własnej bezczynności. Czekają rozkazów — zbyteczne te rozkazy w chwili gdy żołnierze padają secinami, zapełniając fosy naprzeciw milczącego zamku — leżących już na ziemi kartacze rozszarpują, a z ran płynie szlachetna krew Francji... A tam, w sali bilardowej, marszałek bierze górę nad swym przeciwnikiem, lecz kapitan broni się jak lew...

Siedemnaście, ośmnaście, dwadzieścia!

Ledwie nadążono zaznaczyć punkta.

Zgiełk wojenny coraz bardziej się zbliża. Już granaty wpadają na dziedziniec—jeden z nich pęka nad strumieniem, płynący łabędź skręca się śród wiru zmąconej wody i znika, pozostawiając kilka piór skrawionych...

Po chwili nastąpiła wielka cisza; nie było słychać nic, prócz padającego deszczu..

W chwili gdy marszałek wygrywał partję, cała armia była w zupełnem rozprzężeniu...

Przegląd muzyczny.

Niejednokrotnie dawały się słyszeć głosy w naszych pismach publicznych z utyskiwaniem na szczególne uwielbienia naszego społeczeństwa dla artystów obcych przybywających do nas z zagranicy — a zupełne zapoznawanie naszych rodzinnych talentów, które muszą wpierw nabyć sławy na obczyźnie, aby znaleść u nas uznanie i jakie takie powodzenie. Przysłowie „nemo propheta in patria sua“ sprawdza się u nas niestety bardzo często. Taki Barcewicz nie miał u nas wielkiego powodzenia, a pobratyniec nasz Ondriczek zmuszony grać przed pustemi krzesłami z gorzką ironią wyraził się o będących wówczas na porządku dziennym frazesach, o wielkiej sympatji dla Czechów. A dzisiaj artyści ci zbierają laury i uznanie u obcych, u wrogów nawet naszych, muszą więc zapewne zasługiwać na nie. Artyści ci są dzisiaj uważani za granicą za p i e r w s z o r z ę d n y c h, a mając patent zagranicznej sławy, mogą już i u nas liczyć na powodzenie.

Utyskiwanie to słuszne zupełnie; niesłusznie jednak pisma nasze zwalają winę na polską publiczność, gdy przeciwnie same winne się uderzyć w piersi i przyznać że one są złego powodem. Chwaląc z a w s z e i b e z w z g l ę d n i e wszystko co nasze, dobre czy złe dla tego tylko że nasze wyrażając się z jednakiem uznaniem o talencie prawdziwym, jak i o niedouczonym, ale obdarzonym wielką dozą zarozumiałości i „cywilnej odwagi“ blagierze, zdyskredytowały się przez ten właśnie brak krytyki zdrowej i sprawiedliwej o tyle, że publiczność nie mając najmniejszej rękojmi, iż domorosły artysta nie zada kłamu swym występem powszechnym kadzidłom i pochwałom, a bojąc się doznać zawodu — wyczekuje poprostu pochwał krytyki zagranicznej, i nie spieszy z uznaniem dla „rodaka“. Takie bezwzględne pochwały dla młodego skrzypka p. Tyberga, który może kiedyś zostać artystą, ale dziś jest dopiero absolwowanym uczniem konserwatorjum, takie wyrazy uwielbienia dla tylu innych artystów lub amatorów (pna. Paltinger) tego rodzaju jałowe i bezmyślne sprawozdania jak n. p. z ostatniego koncertu p. Zaremby — muszą pociągać za sobą wyżwykazane konsekwencje — muszą obudzić stanowczą nieufność do tego co dzienniki chwalą jako piękne lub wielkie, dla tego tylko że nasze — a w danym razie ta nieufność obraca się właśnie na niekorzyść rzeczywistej zasługi. Z koncertu p. Zaremby nie damy szczegółowego sprawozdania, gdyż nie możemy traktować p. Z. jako artystę. Wspominamy tylko o tem, co z całego programu miało rzeczywistą artystyczną wartość: o grze p. Wolfsthala. Arję Berha (na strunie G.) odegrał tak prześlicznie, z takim olbrzymim tonem, i z tak subtelną a ciepłą deklamacją, że wskazał od razu publiczności i komuś, gdzie jest artyzm — a gdzie... wielka odwaga. Po odegraniu Motto perpetuo (Morceau de Concert) Paganiniego oklaski rozentuzjazmowanej publiczności nie miały końca, a my jesteśmy zmuszeni radzić p. W., by jak najprędzej wyjechał za granicę na podróż koncertową i... jak najprędzej wrócił do nas z „wyrobioną“ już sławą. *R.*

Przegląd teatralny.

Dom otwarty kom. w 3 akt. M. Bałuckiego. Narzeczona Harambaszy dramat T. T. Jeża. Pan Damazy kom. J. Blizińskiego. Trzpiot kom, Barriera.

Różne okoliczności złożyły się na to, że w paru ostatnich numerach naszego pisma brak było niniejszej rubryki. Pozostaliśmy bardzo w tyle i zaiste niełatwo przyjdzie wywiązać się z zadania, aby w szczupłych rąmach, jakiemi rozporządzić możemy, zdać sprawę czytelnikom naszym z ubiegłych tygodni. Widzieliśmy na scenie kilka nowości a choć niektóre nie zasługują więcej, jak na wzmiankę, to paru z nich należy się serdeczne przywitanie i parę chwil zastanowienia.

Idąc porządkiem chronologicznym rozpocząć musimy od Domu otwartego, trzyaktowej komedji, sympatycznego pisarza M. Bałuckiego. Powtórzyliśmy za afiszem „komedji“, gdyż naszem zdaniem jest to obrazek, fotografja satyryczna, żywcem zdjęta ze społeczeństwa mieszczańskiego, jest to satyra na owe doraźne baliki domowe, po których pozostają tylko niesmak i plotki.

Dla czytelników, którzy nie mieli sposobności widzieć na scenie Domu Otwartego podamy w kilkunastu słowach treść tego pięknego obrazka.

Państwo Żelescy żyją sobie wraz z wujem Telesforem i siostrą Kamilą w zaciszu domowem bardzo wygodnie i spokojnie. Za radą przyjaciółki, kobiety pustej, kokietki, postanowili wydać wieczorek tańcujący, na który, w braku znajomości, zapraszają całą falangę „facetów“ nieznajomych“ Dom dotychczas zamknięty w najściślejszym kółku — otwierają; ztąd też pochodzi tytuł sztuki niezupełnie usprawiedliwiony.

Bal się udaje o tyle, że goście tańczą jedzą, piją i palą do woli. Powstają małe nieporozumienia, bo zaproszona młodzież zupełnie nieznajoma, wchodzi czasami w kolizję z kodeksami towarzyskimi, kochane zaś „najserdeczniejsze“ czerpią z tej zabawy pełnemi garściami materjał do plotek,

mogących nawet zniszczyć szczęśliwe pożycie małżeńskie. Rozczarowani gospodarze powracają napowrót do błogiego życia, ograczonego na kółku rodzinnem i wypróbowanych w przyjaźni znajomych.

W sztuce Bałuckiego przesunęły się przed oczyma naszemi nasi dobrzy znajomi, na których, co dzień patrzymy temu też przypisać można powodzenie sztuki. Taki „fortencer", zasuszony i przygnębiony małżonek, kawaler z prowincji, półlewek uliczny, poczciwy wujaszek, energiczna mama — oto szereg typów zdjętych z fotograficzną prawdą z natury. A typy te, znalazły na naszej scenie jak najlepszych wykonawców. Rzadko zdarzy się u nas, aby cała sztuka tak dobrze była graną jak Dom otwarty. Niejednokrotnie spotkać się można z zarzutem, co potwierdzić sami musimy, że w niektórych sztukach, kilka ról jest dobrze granych, lecz ensemble niewytrzymują żadnej krytyki. Dom Otwarty, stanowi wyjątek. Chcąc rozbierać pojedyncze role, musielibyśmy każdemu artyście i artystce z osobna i innym frazesem oddać hołd za odtworzoną postać. Poprzestać musimy na wybitniejszych tylko. P. Wojdałowicz dopiero w roli wujaszka przedstawił się Lwowianom jako niepośledni talent talent. Z dotychczasowych ról, w jakich u nas występował. ta| należy do najlepszych i jesteśmy przekonani, że autor nie mógł sobie lepszego wymarzyć wujaszka, jak ten, którego p. Wojdałowicz z życiem, humorem przedstawił. Scena z szachami była wyborną przez pomysłowe szczególiki, w akcie drugim fantazją rozentuzjazmował publiczności

Pan Lubicz przedstawił nam fortencera z taką prawdą i lekkością, że każdy widząc w nim jakiegoś znajomego przyklasnął wybornej grze jego. Pp. Fiszer, Kwieciński, Walewski i Woleński odegrali role swoje jak można najlepiej, | charakterystyką zaś odznaczyli się i powszechną zwrócili uwagę pp. Ruszkowski i Sachorowski, pierwszy w roli zahukanego męża, drugi w roli kawalera z prowincji.

O rolach kobiecych to samo musimy powtórzyć co powyżej, chociaż role ich w obec typów męskich, słabiej są przez autora narysowane. Podziękować tylko musimy paniom Kwiecińskiej, Żelazowskiej, German i Sułkowskiej, za dotrzymanie tonu w ogólnej harmonji. Dom otwarty długo utrzyma się na naszej scenie, na co najzupełniej zasługuje.

Z koiei wypadałoby zastanowić się nad dramatem T. T. Jeża, przerobionym z powieści pt. Narzeczona Harambaszy. O przeróbce tej jednak, mimo wielkiego uznania i czci dla autora nie możemy wyrazić się pochlebnie. Pismo nasze objawiło już swoje zdania o tej sztuce w Nr. 19. Tutaj dodać tylko musimy uznanie dla artystów, którzy z ról wcale nie popisowych zrobili co mogli. Z ról męskich pp. Żelazowski, Ruszkowski, Hierowski Zboiński najlepiej wywiązali li się ze swego zadania. Z ról kobiecych zaś uznanie to jedynie p. Aszpergerowej oddać możemy. P. Nowakowskiej już raz wytykaliśmy przesadny patos, dziś powtarzamy to samo. Namiętna Fatma hanem gdyby z taką emfazą przemawiała w rzeczywistości, nie zapaliłaby nie tylko kapitana Marka, ale nawet najzwyklejszego zdrowego śmiertelnika. P. Żelazowskiej, która pracuje sumiennie i z postępem musimy zwrócić uwagę na większy spokój i na zaokrąglenie ruchów w ogólności.

P. Damazy jest zanadto dobry nasz znajomy, abyśmy nad jego wartością zastanawiać się mieli. Wciągnęliśmy go zaś do naszego sprawozdania dlatego, że przedstawionym był w zmienionej obsadzie Rolę Helenki grała po raz pierwszy na naszej scenie p. Felicja Stachowiczówna, która odbywszy szkołę sceniczną w Krakowie, należała przez rok do towarzystwa dramatycznego w Petersburgu, w końcu zaś przybyła do Lwowa, aby być — mówimy stanowczo— ozdobą naszej sceny. Rolę Helenki odegrała panna Stachowicz z taką swobodą, odtworzyła tak sympatycznie postać prawdziwie polskiej niewinnej panienki, jaką tylko w poczciwym dworku spotkać możemy, że tym pierwszym występem zjednała sobie odrazu sympatję całej publiczności. Talent p. Stachowiczównej, co z dalszych jej występów wnioskować mogliśmy, skłania się więcej do ról lirycznych i w tym zakresie nie ma u nas dzisiaj równej współzawodniczki. Rolę Mańki, dziewczyny pełnej prostoty, wystawionej na ciągłe poniżanie, dziewczyny za wcześnie ugodzonej ciosem zawodu bolesnego, grała p. Żelazowska dobrze i może najlepiej z ról, w których dotychczas występowała. P. Fiszer, jako rejent Bajdalski był wybornym, przyklasnąć tylko i powinszować mu możemy tej postaci, którą śmiało może wliczyć w repertoar swych najlepszych ról. Już mniej nas zadowolnił p. Żelazowski, jako Seweryn, nie wiemy, co wpłynęło na artystę, ale w tej roli wydawał nam się za sztywnym, którego nie wiadomo za co ciocia tak pokochała. Reszta ról była w dawnej obsadzie. P. Zamojskiego chyba nikt nie przewyższy w tej roli, grał ją też jak i dawniej zamaszyście z hukiem, krzykiem, ale sercem. Łobuza Genia otworzył doskonale. p. Kwieciński.

Z nowości odegrano trzyaktową farsę Barriera p. t. Trzpiot. Cóż powiedzieć o niej? Oto tyle, że mniej w niej humoru, jak w innych francuzkich farsach, a za to więcej nieprzyzwoitości i trudności dla maszynistów, którzy muszą między aktem pierwszym a drugim budować na scenie schody. Wspominamy dlatego o tej farsie, aby zwrócić reżyserji uwagę, że sztuki tej kategorji wtenczas tylko mogą mieć względne powodzenie, jeżeli tempo sztuki będzie nadzwyczaj przyspieszone. A właśnie tego było brak w nowo wystawionej farsie.

Pomimo więc dobrej gry pp. Zamojskiego, Fiszera, Kwiecińskiego i Zboińskiego oraz p. Sułkowskiej i p. Junoszy, sztuka, której jedynem zadaniem jest bawienie, musiała znudzić widzów. P. Zapolska, której nie odmawiamy talentu, nie zadowolniła nas w roli tytułowej, przypominała Norę; w każdym razie użyta przez reżyserją do ról odpowiednich jej talentowi, może być wkrótce bardzo użyteczną na naszej scenie.

Tumult.

Czytelnicy „Ziarna" przypominają sobie zapewne obrazek p. t. „Przygoda Piotra Michajłowicza", napisany przez Jaźminowa. — W obrazku tym autor przedstawił bezgraniczną wierność i przywiązanie Michajłowicza ku swemu carowi — jego zabiegi ku przypodobaniu się mu — i wreszcie jak skutkiem tego Michajłowicz niezrozumiany, podejrzywany o zbrodnicze zamiary względem „ojca narodu" dostaje się do kozy. Obrazek był skreślony z takim talentem, że zwrócił na siebie uwagę znawców — rokowano nieznajomemu autorowi świetną przyszłość... i kto wie, czy nie zawiódłby on pokładanych w nim nadziei, gdyby nie nędza, która młodego naszego współpracownika wtrąciła przedwcześnie w grób. Zdaleka od gwaru miasta, w zadusznej izbie wiejskiego nauczyciela — wśród ludu, u którego szukał typów, dla swych utworów umarł Lew Wasyłowicz. Na grobie jego nie złożono ni laurowych wianków z wstęgami o szumnych napisach, ni wygłoszono mów pochwalnych — Trumnę zbitą z białych desek wynieśli chłopi na swych barkach na wiejski cmentarz i przy „Wicznaja pamiat" przykryli ziemią ciało człowieka, co marzył o poprawieniu ich losu. Cześć jego pamięci!

ZIARNKA.

Dżdżyste i posępne niebo nad nami, a w obec tego trudno zdobyć się na myśl wesołą. Wszystko psuje się jakoś a i klimat, który dawniej nas raczył tylko 7 miesiącami zimy, zawziął się i nie chce nic wiedzieć o wiośnie Ztąd zastój w robotach i ciężkie wzdychanie gospodarzy wiejskich, — no,już ci rolnicy zdaje się nigdy nie będą zadowoleni — a co gorsza najzupełniejszy zastój w życiu towarzyskiem i społecznem Z powodu niepogody odłożyć musiano mnóstwo projektowanych wycieczek, z powo du niepogody (może z in nego powodu ?) wloką się nudnie przygotowania do wyborów sejmowych, a pod rubryką ruch zanotować by chyba wypadało— ruch budowlany. Rzeczywiście pod tym względem miasto nasze istotnie dość się podnosi i postępuje, bo dawny styl koszarowy naszych kamienic zastępują coraz artystyczne bardziej budynki. Kto lat kilka nie widział Lwowa, ten pod tym względem znaczną w nim znajdzie różnicę, a do dawnych domów przybędzie w tym roku kilka nowych.. Oprócz willi przy ulicy Skrzyńkich, ukończonej już prawie przez p. Wł. Halickiego, przybędzie piękny dom obok gmachu sejmowego. Przy ulicy Kraszewskiego stanie cały szereg wielkich kamienic, a na pustym placu przy ulicy Zimorowicza zaczęto budować kilka nowych domów, pomiędzy tymi zaś stanie wcale ładny budynek towarzystwa gimnastycznego „Sokół". Pożyteczne to stowarzyszenie, któremu oddawna potrzeba było sali gimnastycznej, zebrało już część na ten cel potrzebnych funduszów i rozpoczyna z nimi budowę spodziewając się, że publiczność chętniej teraz pospieszy ze składkami na pokrycie reszty kosztów, które stosunkowo nie są zbyt wielkie. Niedługo zamierza „Sokół" urządzić na ten cel festyn i nie wątpimy, że tym razem rzęsiściej popłyną składki na fundusz tak pożyteczny.

* * *

Smutno nam się jakoś zrobiło odczytawszy wierszyk p. T. L., który komitet jubileuszu Matejkowskiego przeznaczył za tekst kantaty, jaka ma być odśpiewaną w dzień uroczysty. Zamiast słów jędrnych i męskich, któreby uczciły mistrza, a słuchaczom natchnęły poczucie lepszej doli, mamy jakąś dziadowską, bez składu i ładu piosenkę, kwilącą łzami i babską kwilących niemocą. Poeta powiada, iż

Z błękitu anioł leci
Z skrzydły tęczowemi
Cały jasnym blaskiem świeci
I przyświeca ziemi...

anioł ten, obleciawszy świat, spostrzegł nareszcie lasze plemię „drzemiące".

I ze skrzydeł swych bez zmazy
Rwał pióra tęczowe
I w girlandy i obrazy
Stroił sennych głowę.

. . . .

Oni głowy podnosili
Na wpół przebudzeni,
Do anioła się zwrócili
Tym snem zachwyceni.

Ale anioł znikł w połowie,
Sny w obrazy zmienił,
Siebie w człeka, co tęczowe
Te sny opromienił
I Matejko zowie.

Czy jest co niesmacznego nad pomysł tej metamorfozy, czy raz nie należałoby zerwać z temi figurami mistycyzmu i nie należało przemawiać zrozumiałym i męskim językiem ? Jakaż muzyka może być zastosowaną do tego kwilenia i czy ta muzyka będzie stosowną do uroczystości. Warto, aby nam odpowiedzieli ci, co się nad tym wierszykiem unoszą.

* * *

„Przegląd tygodniowy" pisze :

Oddawna już malarze lwowscy zapomnieli o salonach artystycznych w Warszawie, i dlatego z pewną przyjemością spotkaliśmy się na wystawie Tow. zachęty sztuk pięknych z szeregiem krajobrazów, namalowanych przez p. Henryka Grabińskiego, lwowskiego artystę. Dwa z tych obrazków są większe, cztery małe, a wszystkie przedstawiają okolice podkarpackie, studjowane widocznie z natury, bardzo starannie. Jeżeli zacząć mamy od wyliczenia przymiotów młodego pejzażysty, wypada nam zaznaczyć wysoką umiejętność rysunku, uwydatnioną w całej grupie jego robót. Pan Grabiński od gór do stafażu i kamieni przydrożnych poczynając, wszystko starannie i umiejętnie rysuje, zachowując odpowiednie ustosunkowanie wielkości pomiędzy przedmiotami i nie robiąc kęp liści większemi od człowieka, a gór mniejszych od stojących u ich podnóża ludzi, co się niejednemu z naszych domorosłych talentów zdarza. To jednak przywiązanie się do drobiazgów szkodzi trochę efektowi całości, która sztywnie wygląda i zimno. Zdaje się, że p. Grabiński, dla pozyskania większej swobody w układzie planów, powinien na czas pewien z drobiazgowych studjów, którym się oddaje z takiem zamiłowaniem, przejść do robót na wielkich płótnach, mieszczących drobne partje krajobrazu. Przy takiej metodzie sama natura rzeczy zmusi lwowskiego artystę do szerokiego traktowania przedmiotów, pozwoli mu swobodniej oddawać efekta oświetlenia i odcienia barw delikatnie studjować. Zaprawiony na takiej przygotowawczej robocie p. Grabiński będzie mógł powrócić do swego ulubionego rodzaju widoków drobnych rozmiarami, a szerokie obejmujących horyzonty. W każdym razie nawet bez zmiany sposobów traktowania sztuki i natury, p. Grabiński doskonałym jest nabytkiem dla naszych artystycznych stosunków. Liczy się bowiem do niewielkiej liczby pejzażystów, umiejących wyrazić myśl swoją a rysujących doskonale.

* * *

W ubiegłą środę wystawiła dyrekcja nową operetkę Souppego pt. „Gaskończyk". Muzyka tej operetki, to zbiór reminiscencyj z różnych oper i operetek. Cała piękność jego polega na chórach, a świeżość w instrumentacji. Z wybitniejszych numerów wymienić możemy : balladę szkocką, romans Mary ,duet jej z Croustillakiem i finale w akcie 2gim, oraz duet Jamesa z Croustillakiem i finale aktu trzeciego. Główne partje spoczywały w rękach pp. Bandrowskiego i Almy, oraz pań Skalskiej i Bocskaj. Na pochwałę p. Bandrowskiego powiedzieć musimy, że z każdym dniem robi postępy i nabiera rutyny scenicznej. Co do strony wokalnej, to partja Coroustillaca, trzymana w tonie niskim, przedstawiła p. Bandrowskiemu wielkie trudności do pokonania ; wywiązał się jednak z niej ku zadowoleniu publiczności, czego dowodem oklaski, które razem z p. Almą po duecie w akcie trzecim kilkakrotnie otrzymał. P.p. Skalska i Bocskaj jak zawsze partje swe odśpiewały bardzo dobrze.

Nie możemy pominąć uznania dla p. Jareckiego, pod którego kierunkiem chóry doskonale wyćwiczone spiewają jak, w tym utworze poprawne i podtrzymują całą operetkę.

* * *

Już raz na tem miejscu pisaliśmy z uznaniem o gorliwem krzątaniu się lwowskiego Towarzystwa tatrzańskiego. Dziś słowa nasze możemy poprzeć otrzymanem zaproszeniem na wycieczkę w góry stryjsko-sokalskiej, którą urządza zarząd lwowskiego oddziału Tow. tatrzańskiego.

Wycieczka naznaczoną jest na dnie 21. 22. i 23. iipca z okazji walnego zjazdu Tow. pedagogicznego w Stryju. Uczestnikom wycieczki obmyślił zarząd wszelkie ułatwienia

i przyjemności. Za skromną opłatą kilkunastu guldenów zapewnia komitet wycieczkowy wspólne śniadania, objady i kolacje, oraz nocleg wygodny przez cały czas tej artystyczno-naukowej wycieczki. Jeżeli pogoda nie zawiedzie, chociaż stuletni kolendarz jak na złość prorokuje czas słotny, — jesteśmy przekonani, że liczne grono wesołych turystów opuści na trzy dni niewonną atmosferę Lwowa, aby całą piersią zaczerpnąć ożywiającego powietrza karpackiego.

* * *

Do czego się doszło! Upór komitetu krakowskiego pomnika Piusowi IX. jest tak wielki, iż mimo opozycji całego społeczeństwa, trwa podobno komitet w swym zamiarze postawienia monumentu na Wawelu. Jak wiadomo, Dr. Zyblikiewicz, w charakterze burmistrza krakowskiego, wystosował protest przeciwko temu, podnosząc, iż Wawel nie może być panteonem dla cudzoziemców, choćby nawet narodowi polskiemu zasłużonych. Do tego protestu zrobiła akces niemal cała prasa, wszyscy ludzie wpływowi, swobodniejszych przekonań — lecz nic to nie pomaga, komitet pomnika milczy, stojąc przy swym zamiarze, chcąc przeczekać burzę i swoje zrobić! Rozeszła się nawet w tych czasach pogłoska, iż komitetowcy zamierzają tajemnie ustawić pomnik w katedrze, a skoro się to stanie, ogół będzie się musiał liczyć z faktem spełnionym i jak zwykle przed tego rodzaju faktami, sarkając ustąpi. Przecież pomnika papiezkiego nie wyrzucą z kościoła gwałtem, siłą, kiedy się władza duchowna na pomieszczenie go tam godził Wprawdzie magistrat utrzymuje, iż w interesie bezpieczeństwa publicznego ma prawo dozwalania lub zabraniania wznoszenia budowli, przerabiania kościołów i z tego prawa chce skorzystać w tym razie, lecz co istotnie poradzi z komitetem, mającym wszechwładne wpływy w kapitule? Radzą niektórzy postawienie warty, którąby strzegła kościoła od samowoli komitetu i jego potężnych przyjaciół. Czy nie cudackie to, czy nie śmieszne?!

ZAPISKI.

Literatura.

* Pośród posuchy na niwie naszej poezji, pojawienie się obszernego poematu p. t. „Roman Zero" p. Wł. Stebelskiego, poety posiadającego dobrze zasłużoną popularność za swe udatne wiersze humorystyczne, wywarło w sferach miłujących literaturę, prawdziwe wrażenie. Praca to prawdziwie piękna o głębszym zakroju filozoficznym i społecznym, pisana wierszem gładkim, barwnym włoskiemi oktawami na wzór poematów Bajrona i Słowackiego. Pod względem języka i siły obrazowania „Roman Zero", zajmuje zaszczytne miejsce między utworami poetycznymi naszych czasów, a pochwały oddane poematowi temu przez St. Tarnowskiego i I. J. Kraszewskiego zupełnie są zasłużone. W przyszłym numerze podamy recenzję „Romana Zera", a tymczasem możemy go sumiennie polecić czytającej publiczności.

* Wydawnictwa Macierzy Polskiej zostały polecone przez krajową Radę szkolną do bibljotek szkół niedzielnych i na nagrody szkolne.

* Pod tytułem „Bażanty Julka", dość zręczna powiastka autorki pisującej pod pseudonimem Z. D., drukuje się obecnie w „Gazecie Polskiej".

* „Wiek" rozpoczął dzisiaj w dodatku druk powieści Wacława Masłowskiego, pod tytułem „Ząb za ząb". Utwór ten naszego wysoce utalentowanego belletrysty, osnuty jest na tematach, poczerpniętych z życia ludów Kaukazu.

* W Stanisławowie zacznie wychodzić z dniem 1. czerwca br. dwutygodnik poświęcony młodzieży.

* Björnstjerne Björnson napisał nowy trzyaktowy dramat p. t. „Rękawiczka.

* W Nowym Jorku poczynie wychodzić czasopismo p. t. „The Moon" wydawane przez obłąkanych.

* Wyjdzie niebawem w Paryżu w dwóch tomach korespondencja Stanisława Augusta z rodziną.

* U Leitgebra w Poznaniu opuścił prasę poemat narodowy „Svea" Ezajasza Tegnera, szweda. Przekładu na język polski dokonał hr. Wawrz. Engestroem.

* Posąg Edgara Quntet, znakomitego francuskiego myśliciela, odsłoniono w mieście Bourg, dnia 13. bieżącego miesiąca.

Posąg jest dziełem rzeźbiarza Millet'a.

Quinet wyobrażony jest w pozycji siedzącej; jedna jego ręka trzyma książkę i wspiera się na poręczy fotelu, druga zaś zdaje się dopełniać odpowiednim gestem wykład uczonego filozofa, historyka i poety. Na podstawie wypisane są złoconemi głoskami tytuły dzieł Quinet'a, oraz ważniejsze daty z jego życia.

Edgar Quinet osobisty przyjaciel i wielbiciel Mickiewicza, urodził się w Bourg, 3. lutego 1803 umarł w Paryżu 27 marca 1875.

Teatr i muzyka.

* Bohaterski tenor p. Mierzwiński przybywa na występy do Warszawy.

* Pani Modrzejewska bawi obecnie w Chicago w Kalifornji, gdzie przepędzi na wsi letnią porę, w zimie zaś puści się na nowo w artystyczną podróż.

* P. Dowiakowska primadonna opery warszawskiej przybędzie niebawem do Lwowa.

* Władysław Żeleński napisał tryumfalną kantatę na cześć zwycięstwa Sobieskiego. Tekstu dostarczył Wł. L. Anczyc.

* Świeżo opuścił prasę utwór fortepianowy Wład. Żeleńskiego nakładem Kirstnera w Lipsku p. t. „Grand Scherzo de Concert".

* Zakład berliński Knolla połączony został telefonicznie z operą w celu dostarczenia gościom gratysowego koncertu.

Sztuki piękne.

* W paryskim tegorocznym salonie znajdują się następujące obrazy polskiego pendzla: Bakałowicza portret męski, Brandta ustęp z wojen polsko-tureckich z XVII w., Chełmoński dwa obrazki: polowanie na lisa i sanie oblężone przez wilki, Gąsowski „Ranek mglisty w Ares" (Gironde), Gerson „Bez nadziei i światła", Krabański „Portret kobiety", Krasnopolski, Kruczkowski pejzaże, Merwart dwa studja, Piotrowski polowanie w XVIII w., Pochwalski portret kobiecy, Przepiórski typ humorystyczny ulicznika, Słomczyński krajobraz górski, Wierusz Kowalski dzień jesienny, P. Wisłocka portret F. Duchińskiego, Zier (ojciec) Śtą Magdalenę, Zier (syn) Esterę. — Wystawiony w Berlinie obraz Władysława Czachorskiego „Hamlet pośród aktorów" zyskuje uznanie miejscowej krytyki, również potwierdzającej dawniejszy swój sąd o Brandcie, który wystawił obraz „Jazda czwórką podolską". — W paryskim salonie następujący polacy wystawili swe rzeźby: p. Dąbrowska „Rozkapryszone dziecię" w terrakocie, Godebski biust ks. Gorczakowa i drugi Mierosławskiego (z bronzu) Kossowski dwie grupy: udatna próba, Bernard Paliisy, Hagel biust i statuetkę „rosa" Łosik medalion Bronisława Zaleskiego, p. Pietkiewicz medalion bronzowy, Michał Giedroyc dwa medaliony bronzowe.

* Sławny sztych Rembradta, znany powszechnie pod nazwą „Petrus van Tol", wyobrażający portret Dra. Arnolda Tholinex, wzbogacił znakomity zbiór sztychów p. Dutuit w Rouen. Zapłacił za niego 1501 funtów szterlingów dzięki współzawodnictwu Anglików.

* Kustendż rumuńskie nadbrzeżne miasteczko, zamierza wznieść pomnik Owidjuszowi, który w r. 9. po Chrystusie był wygnany do Tomi. Owe Tomi miało się znajdować na mniejscu, gdzie dzisiaj się wznosi Kustendże.

* Jul. Goupil, uczeń Ary. Schaffera znany malarz rodzajowy zmarł w Neuvilly.

Treść.

Z drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza.